ROK X. WARSZAWA, 31 SIERPNIA 1921 R. ZESZYT XVI.

PLACÓWKA

KULTURY I SZTUKI

Młodzież.

Nie wiem, czy wielu ludzi odnosi takie same jak ja wrażenie potworności, gdy patrzy na dziecko, lub podrostka, które na twarzy, w ruchach, w sposobie zachowywania się lub rozumowania przypomina człowieka starego. Gdy przechodzi się obok trumny podeszłego, uczucie nasze jest zależne od stosunku, jaki nas łączył z umarłym. Lecz gdy na katafalku spoczywają przy młodym trupie białe róże młodości, ogarnia nas nieosobiste, filozoficzne uczucie smutku i żałości. W samej rzeczy—śmierć młodości jest potwornem nadużyciem, popełnionem przez naturę.

Jeżeli chcesz poznać stan zdrowia społecznego jakiegoś narodu, nie zaczynaj od instytucyj. Mogą być grube niezrozumienia. Co jest dobre i pożyteczne dla Zachodu, może być złe i zgubne dla Wschodu, lub odwrotnie. Zresztą instytucje mogą zależeć od lunacyj politycznych. Ładne by pojęcie mógł, naprzykład, powziąć cudzoziemiec o nas, gdyby sądził z obecnych naszych ministerjów lub obecnej sejmującej gromady. Traktowałby nas jak tubylców w Algierze lub marokańczyków, albo i jeszcze gorzej, gdyż ci posiadają niewzruszone cementowe lepiszcze społeczne to jest mahometanizm.

I omylny mógłby wypaść sąd z badania ludzi dorosłych, sprawnych komedjantów życia. Ogromna większość ludzi wartościowych chętnie ukrywa się w cieniu, nie znosząc znojnego upału życia publicznego i występuje dopiero na widownię, zmuszona przez niecodzienne wypadki. Na powierzchni szumi brudna piana. Często dostęp do wnętrza puharu (nocnika?), dla obserwatora i myśliciela — trudny.

Ale co jest dostępne dla każdego przechodnia, bez maski, bez obłudy, bez kłamstwa, bez udawania, jak morze otwarte, na które wpłynąć może oko myśli — to świat młodzieży. Wolną, nieokiełzaną grę namiętności i instynktów badaj na zwierzętach, na dzieciach. Chadzaj do teatru podziwiać aktorów, ale mądrości ucz się na dzieciach.

Osobliwy świat! Młody tytan może niezawsze z mięśniami Heraklesa lub z twarzą Apollina, ale jak bożek mierzący siły na zamiary, rzuca się do walki, a... jest bezbronny. Wyprowadzi go w pole byle stary doświadczony osioł z dzwonkami przedrzeźniającymi pieśń młodości. Młodego tytana bierze za rękę wychyloną z gąszczów leśnych satyr o zniszczonych łydkach i zielonawej twarzy i, obiecując nimfy, prowadzi go do starych wiedźm z workowatą piersią. Napij się, młody bożku, soku madragory. Wiedźmę weźmiesz za nimfę, djabła za proroka. Krowią kupkę za plaster miodu, trzęsawisko za ocean. Chwytasz za żagiew, myśląc, żeś pochwycił słońce i podpalasz nią cichą strzechę, gdzie śpi twoja matka. I nie wiesz nawet coś uczynił, bo ty wogóle nic nie wiesz, tytanie młody, prócz tego, co ci wiatr do uszu przyniesie.

Bryłę świata chcesz ruszyć z posad, tytanie młody, jakgdyby twój wątły chrząstkowaty cielęcy grzbiet mógł unieść górę żelaza. Nie powinieneś się urazić za takie porównanie. Twój gniew nie zmieni natury, że masz dopiero chrząstkę nie kości. Twój egoizm jest bezbrzeżny i ślepy, więc może być zarówno narzędziem zniszczenia jak i tworzenia. Jesteś istotą wypadku, przechodzącą z rąk do rąk, z objęć do objęć, na wzór Marji z Magdali, Całuje ciebie i Judasz i Chrystus. Więc gdy się kształtujesz, jak kwiat pod pracowitem, umiejętnem i troskliwem okiem ogrodnika jesteś piękny, jako forma doskonaląca się, obiecująca wydać nasienie, to jest forma nieśmiertelna. Lecz ileż pąków nie wydaje nasion wcale? Dość jednego chrząszczyka, aby unicestwić nadzieję. Bywają lata, gdy całe gatunki kwiatów niszczone są przez chrząszczyki lub gąsiennice. Bywają pokolenia młodzieży, stąpające po ziemi zasłanej trupkami 'opadniętego kwiatu. I nikt nie słyszy ich kroków mimo że krzyczą głośno: oto idziemy.

Naprawde jakiż to jest człowiek wiecznie młody? Jego nazwisko? Będący po nad wszystkimi zawistnymi bogami Olimpu, równowładny Fatum, dumnie spowiadający się ze



Jeniec. — Fr. Pautsch.

Tow. Zach. Szt. Pięk.

swej młodości najwyższemu Bramie, Tchnieniu Tchnień, swemu ojcu. Z pewnością tysiąc razy wymawiałeś to nazwisko, ale czy widziałeś jego oblicze tak jasno, jak widzisz słońce, czy kiedykolwiek przyszedł do ciebie cieleśnie, dotknął twojego czoła i zadumanym uśmiechem przygarnął na swego towarzysza? Bo jakie duchy ciebie nawiedzają, takim i ty jesteś i będziesz.

Prometeusz... Myszy zjadają miljony martwych książek, gdzie wzywa się to nazwisko nadaremno. Tylko dwaj tytani zdołali wynieść go na swoich atletycznych barkach: Aischylos i Michał Anioł. A może i Pytagoras, gdybyśmy o nim więcej wiedzieli. Z jakich tchnień złożony ten duch? Z miłości i ze wzgardy. Z miłości do ognia-ciepła i ze wzgardy do ciemności-zimna. A z tych dwóch pierwiastków koniecznie, bo miłość bez wzgardy jest tylko żądzą zwierzęcia-niewolnika. Prometeizm to dobór i wybór, więc i wzgarda, jako akompanjament ducha. Można przebaczyć i nawet trzeba, bo to drobiazg, ale przestać gardzić—to znaczy duchowo umrzeć.

Prometeusz jest patronem młodzieży aryjskiej i dopóki żywy Cień jego przechadza się przed jej szeregami, to nawet śród najgęstszych tumanów kurzu zatapiających atmosferę, słychać dostojną niebiańską melodję. Lecz chociaż sam wiecznie młody i właśnie z powodu nieśmiertelności, nie jest młodzieńcem, jest mężem, z bruzdami na czole i z zadumą doświadczenia w oczach. Jak wódz nietylko czuje, ale i wie co dobre, lub złe, bo sam z obydwóch drzew rajskich kosztował. Rozkazy jego są niemylne. W wiecznej walce z Fatum nigdy nie jest zwycięzca w pełni, ale też nigdy nie zwyciężon.

Czy siedzibę ma w chmurach, gdzie jak orzeł walczy z sępem, czy przykuty do martwych skał, a próbują mu urągać Harpje i Menedy, zawsze choć spętany to wyzwolony i choć wyzwolony to spętany — zawsze z jego trybunału padają rozkazy do tego ogrodu kwiatów. który nazywamy młodością.

Wiara—zapał i wzgarda. Rozkaz jest niedosłyszany, gdy młodzież nie czuje impetem, gdy się waha gdy musi rozumować co—jest dobre a co złe. Cóż to za Romeo, któryby rozumował: wejść czy nie wejść na balkon Julji? Jest to już młodzieniec stary, potworek, Prometeusz suchotnik, Hamlet, na którym się kończy dynastja królów Elsinoory. Królewicz

duński czuł wzgardę, ale nie miał zapału. To było wiekuistą tragedją jego samego i krewniaków ze świata aryjskiego.

A czy nie było to tragedją naszych wielkich romantyków, rumieniec suchotniczy na twarzy przy giestach olbrzymich, genjalnych, zeschłe liście wiary na fantastycznej łodydze, hamletyzm nie prometeizm? Byli oni rzeczywiście w położeniu Hamleta. Mieli matkę, która w oczach synów, popełniła cudzołóstwo. Rozwinęli w swej duszy fantastycznie poczucie wzgardy. Nieszczęśliwi szukali wiary, trawieni jej głodem do obłędu. Mickiewicz w improwizacji wyzywa Brahmę — karykaturalne wyzwanie—aby wkrótce pogrążyć się w trzęsawisku Towiańszczyzny. Poszukiwać nowej wiary—napróżno, co najwyżej można przejść do zabobonu. Ulepszyć, uszlachetnić nasienie — to sprawa prometejska, ale stwarzać je — to rękoczyn magika. Słowackiego Kordjan waha się unicestwić cara Mikołaja. Jeżeli ma rzeczywistą wzgardę,—jakżeż wahać się zabić... szczura? Więc nawet wzgarda nie ma dostatecznego imperatywu, nawet ona się waha. Najwięcej zasobów wiary miał trzeci z Nich, Krasiński i dla tego wielka sylweta jego okrętu, dotychczas najmniej dostrzegana, wpływa na wzburzone morze teraźniejszości. Jest on może młody, najmłodszy, najbliższy prometeizmu. Jego myśl przekracza granice polskości, jest wszecharyjska. Niepomyślnym zbiegiem okoliczności, dzięk, powolnej krystalizacji, był on mniej najmniej na spowiednika młodzieży powoływany zarówno jak głęboki duch Norwida, którego Zenon Przesmycki dobroczynnie wskrzesił z martwych.

. Romantycy pozostawili nam prace wartości bardzo rozmaitej: pomniki ze spiżu i ulepki gliniane, łatwo przez bieg czasu kruszone, bo strumień nieśmiertelności nie zawsze przepływa przez Wielkich, bo i sam Homer „niekiedy zasypia". Należy biesiadować z nimi jako z wysokimi towarzyszami, ale nie tańczyć im jak około cielców. Ubóstwianie ludzi jest zaprzeczeniem istnienia Boga, a przez to morderstwem samego siebie, świadectwem dostatecznem upadku. Niewolnik ubóstwia pana i jednocześnie niewolnik nienawidzi pana. Płaszczy się i zabija go. Ubóstwienie czegoś jest aktem fałszu ze wszystkiemi tegoż następstwami.

Romantycy nasi, pijani nieszczęściem, mimo wspaniałe wzniesienie ducha, jednakże nad swą rozpaczą nie zapanowali, i dla tego wykoleili się z linji czystego aryjskiego promete-

izmu. Obdarzyli potomność Hamletem szczególnego gatunku polskiego, Hamletem sentymentalnym lub sentymentalizującym i Almanzorem - Wallenrodem, bohaterem przez ideę zdrady. Te postaci rozmnożyły się obficie, a ich następne ewolucje do dziś dnia włóczą się dogorywająco rażone śmiertelnym udarem rzeczywistości. Przez gęstą mgłę niewoli optyka polska uległa wielkiemu zboczeniu i widziała kolosalność piramid tam, gdzie kształty nie przedstawiały nic osobliwego, chyba osobliwość wykrzywienia.

Dzieła następców np. Wyspiańskiego lub Żeromskiego, acz precyzyjny barometr polskiego domu warjatów, zatem wartości estetycznych nie pozbawione, w znaczeniu głębszego odczuwania nastrojów ludzi *przekształconych*, wynaturzonych, były już najwidoczniejszem, doskonałem zwierciadłem karykaturalnem. Te literackie pasowania się, na wzór strzałów mickiewiczowskich do Boga, były zaprzeczeniem wszelkiej młodości uczuć, były obrazem konania, a ich nastroje—rzężeniem wysychającej piersi. Legenda Młodej Polski (ironiczny wyraz St. Brzozowskiego) kończyła się. Na scenę wyjechała olbrzymia trumna, uświęćmy ją, dajmy na to, mianem sarkofagu, trumna ze szczątkami czegoś, co idzie na przerób do krematorjum natury.

Jest to już praca wiekuistego ognia, i odrodzenie feniksa z... popiołów.

Młodość powinna być rzeczywiście młoda swoją treścią, to jest uczuciem. Szczera i bez trwogi. Szczerość jest cechą istotną każdej Wielkości, to jest zdolności twórczej. Nie da się pomyśleć żadna siła decydująca bez szczerości. Lis, żyjący z ptaszków i z zajęcy nie śmie machnąć ogonem wobec lwa. Udaje świętoszka, jest autorem maksym moralnych, rad wzniosłych, bodaj filantropem. Więc młody z lwią czupryną—oto młodość!

Ponieważ siła wybitna to jest genjusz nie starzeje się nigdy i umiera młodo bez względu na swój wiek, więc, jak mówi Carlyle, i ów twórca religji dla miljonów na całe epoki i ów prorok demaskujący ludom podstępnie wprowadzone do Troi drewniane konie podstępu i ów poeta objawiający prawdę „Divina Commedia“ i ów zdobywca przecinający mieczem węzły gordyjskie, wszyscy oni działają przedewszystkiem szczerością.

Pomagają naturze, a ona pomaga im; z takiego współdziałania wynika możliwość cywilizacji ludzkiej. I dopóki wciąż odnawiająca się młodość jest istotnie tem, czem ma być, to jest szczera, cywilizacja jest trwała i mocna. A starość uczuć niechaj umiera i rzeczywiście umiera, bo jest brzydka, cuchnie kłamstwem i dystylowanem kłamstwem t. j. obłudą, a na jej pogrzebie trzeba wyprawić stypę w znak radości, żeśmy się pozbyli czegoś wstrętnego.

W tem rozumieniu fanfary młodości, czy mianować się będą futuryczne lub inaczej, to przypływ żywego morza. Wiemy, że morze wyrzuca na brzeg przy jeździe swej fali bezlik kształtów, żywioł działa hurtem i niepodobna wiedzieć co wyrzuci. Ale wiemy napewno jedno, że przyniesie ono orzeźwiające tchnienie ozonu, balsamiczne powietrze dla płuc, bez zarodka drobnoustrojów chorobotwórczych, podstępnych, ukrytych, nikczemnych. To nam najzupełniej wystarcza, aby morze uznawać za wielkość. Młodość również.

Młodość powiadam, nie młodzież. Czy w Polsce, dzisiaj młodzież jest młoda? Czy jej tchnienie pachnie orzeźwiającym ozonem? Czy uderza jak fala morska, radośnie, rozpryskliwie, czysto, z matematyczną nieustępliwością? Tak być ma, nie inaczej. Ja tak chcę.

Chcę? Czego chcę? W tym tajemnica.

A ja czuję, że młodzież polska to jeszcze jak niemowlę, które krzyczy. Wie jedno, że mu źle. Straciło matkę, a otoczenie podaje mu brudny smoczek z płynem wcale nie podobnym do mleka; coś zafałszowanego. Niemowlę ma rżnięcie brzuszka i krzyczy.

Prawie cała młodzież nasza jest w partjach (młodość w porcjach, porcja młodości jak sztuki mięsa), słowem młodość częściowa, nie całkowita, rodzaj kalectwa. I to kalectwo datuje się od upadku Polski w r. 1772. Mogło się było tylko powiększać, nie zmniejszać.

Konspiracje zabijają młodość bezlitośnie, mimo wszelkie efektowne pozory poświęcenia, a zwłaszcza konspiracje polskie, które chociaż powstałe z mocnych i szczerych pobudek, stawały się zawsze i bez wyjątku narzędziem bądź w ręku polityki innych państw, bądź w ręku tajnych stowarzyszeń międzynarodowych. Znane są przedsiębiorstwa dla fabrykowania kalek, sztuczne okaleczenia dzieci, aby przedsiębiorca

zarabiał żebraniną lub okazowaniem publicznem sensacyjnych zboczeń. Nasz romantyzm był takich kalek masową fabrykacją, a wszystkie te „nowe młode Polski" były tylko coraz wydatniejszem, coraz osobliwszem kalectwem. Ci garłacze o wolność, gardłowali o wolność dla innych (o co ich nikt nie prosił), sami zaś byli upokarzająco podległymi niewolnikami. Nigdy rzeczywistość boleśniej nie urągała pozorom. W tym ciągłym satelityzmie przy ciałach obcych, to w „wolnej" Szwajcarji, gdzie Tell zamienił się w krowę, a duchowość w ser, to w żydowsko-apaszowskich dzielnicach Paryża, myśl gięła się jak wymłócona słoma, a charakter nabierał cech wstrętnych. Wola wyrodniała w samowolę, pokorną wobec cudzoziemców, bezczelną wobec swoich, duma młoda i świeża w starczą zarozumiałość i otępienie, pokryte pokostem kultury.

I jako szczyt głupstwa, sui generis piramidę, młodość wdała się w walkę z „doświadczeniem", jak gdyby naturalny związek tych dwu sił nie był zasadą potęgi. Właściwie nigdzie poza Polską i poza Rosją młodzi nie prowadzili walki ze starszemi hasłowo. Wszędzie byli dalszym ciągiem starych i nieśli z sobą postęp, walkę o miejsce i o posłuch, ale walkę w imię przedmiotu. U nas odegrali rolę wsteczników, zwalczających naturę. Po dziś dzień dzieciaczki zabawiają się drobiazgowym sporem wierszopisów z pedantami. Prowadzą kampanje przeciwko „mędrcom ze szkiełkiem i z okiem", chociaż Słowacki ostrzegał, że sęp wyżera mózgi. Ładny mózg, który mianował osła mędrcem, a później triumfalnie odkrywa, że ów mędrzec to osioł. Cieszcie się z genjuszu.

Temu krwistemu, krnąbrnemu, rozpasanemu wałkoniowi polskiemu potrzeba własnego chirurga z okiem i z lancetem, aby radykalnie wyciął wrzód niewoli. Smarowanie maściami chociażby z epitetem „heroica" lub „patrjotica" tylko gorączkę powiększa. Kłamstwo wyciąć Polsce, przedewszystkiem ciału młodemu, bo ono najłatwiej się goi.

IGNACY OKSZA GRABOWSKI.

REWOLUCJA.*)

Na dworze jesień, wilgoć i szaruga.
W stu miastach płoną elektryczne kule;
Dzień jest zbyt krótki, a noc nazbyt długa
I dziwnie duszne trzypiętrowe ule, —
Przechodnie szczelnie spinają kołnierze,
Na spleen chorują salonowe kwoki,
Czwórkami idą półsenni żołnierze
W mrok opętany, oślizgły, głęboki...

Miasto jest całe w szarość mgieł wtulone
I głucho dudnią po ulicach auta.
Na rogach ulic drżą od zimna „one" —
Cudowny motyw modnego rybałta...
Latarnie ślepią zabłąkane oczy,
Krzyki wyrostków wieszczą klęski świeże,
W drzwiach kabaretów plugastwo się tłoczy
I nieustannie pjani klną żołnierze...

Ulica cieszy, bawi się i pluje,
Ciska wkrąg złotem, śmiechem i rozpustą; —
Szaleją żydy, paskarze i szuje, —
To nic, za miesiąc będzie tutaj pusto...
Pijane tłumy zatańczą mazura,
Nogami zdepcą plugastwo uliczne!
Comtessę nagą zgwałci nagi ciura,
Napoi wódką Cham usteczka śliczne...

Słyszycie? — Chamy przyjdą wprost z okopów: —
Brudne, cuchnące, szare bohatery!
I kochankami zostaniecie chłopów,
Bowiem mężowie pójdą pod giwery!
Ha, ha! — dziś jeszcze pracuje fabryka, —
Warsztacik-cacko, kuźnica armatek,
A jutro horda tu zahula dzika,
Płód wypruwając z brzuchów żon i matek...

---

*) Wyjątki z mającego się wkrótce ukazać poematu.



Szubienice. Fr. Pautsch.

Tow. Zach. Szt. Pięk.

Obcasy tłuszczy zadrepczą w jelitach
Najbielszych niewiast... Będzie tan nad tany...
Ściany zakwitną krwią w szaleństwa świtach
I „pobratają" się klasy i stany...
Dziś warsztat jeszcze trzęsie się, dygoce, —
Jutro? — oh, jutro — wyleci w powietrze!
Armatki w górę polecą, jak z procy,
Czerwony sztandar zahula na wietrze...

A wtedy, bracie, na cóż stal?
Bal się rozpocznie, wielki Bal!
Warjacki mazur, czy one steep,
O pełną misę i o chleb...
Przez tysiąc ulic, domów, sal,
Iżbyś, szczeniaku, znał, co żal,
Iżbyś się zwiedział, co tęsknota...

A teraz patrz-że, bracie, patrz!
Oto współczesnych dusz Golgota:
Warsztacik-cacko, dwieście hal,
Maszyn wiruje dwa tysiące,
Maszyn się taniec wściekle miota,
A wielkie piece leją stal —
Potoki, srebrno-sino-wrzące...

I dawno skonał w duszach — żal...
Życie się stało machin szałem, —
Rozpędem, wyciem, hukiem dzwonów,
Potwornym tańcem pośród hal,
Gdzie słońcem, skutem i skarlałem,
Szatany czarne leją stal,
Aby z niej odlać otchłań zgonów,
Aby z niej odlać życia kres,
Iżby się posiew krwi i łez
Na cały wszechświat plenił bujny,
Wieczny, posłuszny, jak pies czujny,
Cudny, wspaniały, żrący hasła,
Księgi proroków i tytanów...

Iżby pożoga nie wygasła
Armaty leją tu — psiakrew!
Hej, do pioruna, wy — pismaki!
Pro patria będą czynić siew
Armaty nasze... Siew trojaki:
Przez pierwsze wiosny będzie krew,
Przez drugie będzie już — posoka,
Przez trzecie będzie zwać się — Jucha —
Wyrośnie z tego — Zawierucha, —
Igrzysko dla ludzkiego oka,
Teatrum — rzeźnia, bazar trzewi,
Symfonja, która roześpiewi
W kochanym ludku cudne bydlę,
Aż się zatrzęsą trony zydle,
Aż w dół polecą z łbów korony,
A Chrystus, trzykroć umęczony,
Skona, po nie wiem który raz...

A hejże, nuże tu — pismaki!
Radujcie dusze redaktorów!
Ojczyzna dobrych ma znachorów:
Armaty leją tu — psiakrew!
Wirują koła — kreślą znaki,
Wyją piecyki — leją stal...
Ho, hej! — artykuł, bracie, wal
Na tysiąc wierszy o potędze!
Krzyżyki będą — hej, na wstędze...
I trupki będą — hej, bez głów...
Powiecie miljon hucznych mów,
Miljony kazań, lekcji wierszy
I, w imię Boga i Ojczyzny
Błogosławieństwo dacie znów,
Za świętą krew i święte blizny,
Za wielkie, cudne poświęcenie,
Za wszystkich zmarłych potępienie,
Za pełnych koryt długi rząd
I jeszcze dłuższy trupich dołów,
Za miljon strasznych oczodołów,
Za myrjad rozchłestanych serc...

Hej, do redakcji, papierowych twierdz
Wszelkiej głupoty i podłości!
Fabryka idzie, że — psiakrew!
Maszyn się tysiąc szarpie, złości...
Piecyki wyją — leją zgony —
A sztandar płynie ponad trony,
A sztandar niesie zemsty grom...
Fabryka huczy — śmierci dom,
Warsztat — szczeniaku — ludu gniew —
A kolor jego jest czerwony,
Bo w nim i na nim i dokoła
Szaleje, bluzga, łka i woła
Najświętsza robotnicza krew...

A teraz oto wiesz — Fabryka!
Wszędzie to samo — pracy cud. —
Iżby rywala zabił głód,
Iżbyś ty, bracie, napasł brzuch...
A teraz wiesz, że to jest — Ruch,
Że to jest wir, że jest — pożoga,
Że warsztat leje stal, czy tka,
Zawsze coś ma, zawsze czemś łka,
Co nie jest z ducha, ani z Boga...

JULJUSZ WIRSKI.

Poeta.

Tak. Było to w kwietniu. Chodniki były suche, a na drzewach rysowały się dziewiczo pączki. Były pękate i lepkie. Na rogach ulic obdarte dziewczęta sprzedawały fijołki. Starsi panowie nie zdjęli jeszcze futer. Było ciepło.

Szedłem bez celu na oślep ulicami Warszawy. Nie widziałem wielu śmiesznych i brzydkich rzeczy. Nie widziałem złych ludzi. Obok mnie przelewała się gwarna fala wielkomiejskiego życia: dorożki, tramwaje, posłańcy, samochody i psy. Nie widziałem nic. Można być przejechany przez tramwaj, stratowany przez konie, zmiażdżony przez ciężarowe auto. Ale Opatrzność czuwała nademną. Bowiem szedłem bez celu — w życie...

Mijały mnie wysmukłe, pachnące kobiety. Mijały mnie tysiączne niespełnione przygody. Wyczuwułem tylko ich drażniącą bliskość i czar jakim się owijały niby jedwabnym szałem w ciche wieczorne godziny samotności, Wyczuwałem rozkosz jaką kryły upojnie pod rzęsami zmrużonych powiek. Były to nienazwane jeszcze przygody mnie skradzione przez bylejakich, rubasznych mężczyzn. Ale nie martwiłem się tem. Byłem wesoły i uśmiechnięty. To nie to — nie to.

Przechodzący żołnierze śpiewali coś o wojence. Potem o rozkwitłych pąkach białych róż. Byli objuczeni płaszczami i ciężkimi tornistrami. Pot spływał im po zakurzonych, rumianych policzkach. Jakaś dziewczyna szła obok i płakała. Czułem się zupełnie sam — w tem wielkiem mieście. Co miałem począć?

Kupiłem bukiecik fijołków. Pachły świeżą ziemią, ustroniem leśnem i wiosną. Tak pachły dłonie pewnej nieznajomej panny, którą poznałem w wagonie. Było to na przestrzeni Rzym—Neapol. Wagon pędził z zawrotną szybkością. Za oknami migały posępne pinje i wielkie łuki aquaeduktów. Przymknąłem oczy. A ręce panny były pachnące, obce i przezroczyste. W Polsce była wtedy wiosna. Pachły fiołki.

Szedłem tedy dalej z bukiecikiem kupionych fiołków w klapie ubrania. Szedłem nie widząc wielu śmiesznych i złych rzeczy. Po niebie czystego szafiru płynęły szybko, szybko białe, kudłate obłoki. Wiosna — wiosna. —

Bawił mnie cień, który się czepiał natrętnie moich kroków. Był mały i pokraczny. Pełzał po płytach chodnika, zawadzał o latarnie i słupy, właził niekiedy na gzems domu, czasem gubił się w ogólnym wielkim cieniu kościoła. Był jakgdyby skrótem mojej wyobraźni i syntezą duszy zabłąkanej w wielkiem mieście.

Naraz dostrzegłem rzecz dziwną. Rzecz, która mnie zastanowiła. Oto pozamną ciągnął się długi ogon gapiów. Tłum ludzi — który rósł z każdym moim krokiem i wydłużał się w nieskończoność. Dojrzałem w tłumie tym sprytne twarze andrusów z nad Wisły, opasłe gemby sklepikarzy, pudrowane twarzyczki kobiet wszelkiego rodzaju i rozłupane głowy dandysów od Lourse'a. Gdy przystawałem na chwilę — przystawali wszyscy oni.

Przyśpieszyłem kroku. Szedłem tak długo nie oglądając się wcale. Zmęczony wreszcie przystanąłem i spojrzałem za siebie: tłum był tuż przy mnie. Ogon ludzi był jąkgdyby przyrośnięty do mnie. Poczęło mnie to bawić. Przyszło mi na myśl, że jestem pawiem — a tłum — moim ogonem. Mogłem się puszyć i rozwijać ogon jak wachlarz.

Zacząłem iść krokiem nierównym, raz po raz zmieniając kierunek drogi. Zataczałem koła, elipsy, wchodziłem w nieznane ciasne zaułki, okrążałem wielkie place, gubiłem się w bramach kamienic. Napróżno.

Stanąłem wreszcie przed wielką szybą jakiegoś sklepu. i naraz na lustrzanej tafli szyby ujrzałem—swoje odbicie.

Tak. To jestem ja. Poznałem siebie odrazu.

Byłem ubrany w niemodnego kroju frak, mieniący się wszystkiemi barwami jesieni. Na nogach miałem białe pończochy i jedwabne obcisłe spodnie. Szyję moją owijał koronkowy żabot. Poznałem odrazu, że koronki są z włosów moich kochanek. Na palcu miałem pierścionek, w którym migotał rzewnie dziwny klejnot: była to łza mojej umarłej żony. Z ramion zwisał mi szeroki. czarny płaszcz z mory. Na głowie miałem pudrowaną perukę, a twarz moją zakrywała biała maska. Z pod maski wyzierały tylko oczy. Oczy moje. Po oczach tych poznałem siebie.

Stałem tak zapatrzony w odbicie własne długą chwilę. Czułem za plecami swemi zastygły tłum. Zrozumiałem dlaczego szli za mną ci ludzie. B y ł e m   i n n y. Byłem zupełnie

inny. Odważyłem się wyjść w biały dzień na ludne ulice Warszawy taki jaki jestem. Byłem dla nich śmieszny.

Czułem tysiące par oczu utkwione we mnie. Spojrzenia te były jak ostrza sztyletów, których dotyk czułem na plecach. W tej chwili nienawidziliśmy się.

Nie wiedziałem co mam uczynić. Musiałem się na coś zdecydować. Odwróciłem się nagle przodem ku tłumowi. Tłum zakotłował się ze skowytem niechęci.

— Milczeć!—krzyknąłem.—Czego chcecie odemnie. Czyż nie poznajecie mnie?

Opasłe twarze sklepikarzy zbaraniały ostatecznie. Kobiety zagryzały malowane usta do krwi.

Była chwila największego napięcia.

Wtedy ruchem pewnym zerwałem z twarzy swej białą maskę.

Ukazałem ludziom zmiętą i szarą twarz człowieka. Tłum zawył z radości.

Ale ja poczułem, jak oczy moje zgasły. Obnażyłem tajemnicę. Stałem się nagle taki sam.

Tłum począł się leniwie rozpełzać.

A ja, niby morderca, począłem się przemykać chyłkiem pod murami kamienic, w stronę mego domu, gdzie na mansardzie bliżej Boga i gwiazd miałem swoje mieszkanie.

XAWERY GLINKA.



Jeńcy. Fr. Pautsch.

Tow. Zach. Szt. Pięk.

Pierwiastek rzeźbiarski w poezji.

Wszystkie sztuki przenikają się nawzajem, i nawet w pewnych okresach można zauważyć supremację jednej ze sztuk i jej wpływ na inne, np. malarstwa, muzyki albo poezji. Dość przypomnieć rytmiczność w obrazach Hodlera, poezję w obrazach prerafaelitów, próby znalezienia równoważników dźwiękowych w rzeźbach Biegasa, opisowość w muzyce i wiele innych zjawisk, aby uprzytomnić sobie te wpływy wzajemne.

Na wszystkie zaś dziedziny sztuki wywierają presję kształtotwórczą myśli, idą krążące w atmosferze epoki. Prócz Platona i Schellinga mało kto rozumiał, że konstruowanie szerokich myśli syntetycznych, doskonałej budowy harmonijnie układającej w jedność rozproszone bryły chaosu, zakreślanie słabych kręgów zaczarowujących w majestat jednotonu pstrokatą krzykliwość wielozjawiskowości jest także sztuką. Filozofja jest jedną z gałęzi sztuki, o ile potrafi zrzucić nudną togę i perukę refleksyjności i doskonale się zataić w paraboli i symbolu.

Ale na żadnej ze sztuk nie uwydatnia się w takim stopniu wpływ innych jak na najgiętszej, najpojemniejszej, najwszechstronniejszej—na poezji. Malarstwo parnasowców (José Maria de Heredia) i symbolistów. (Artur Rimbaud, Henri de Rignier, Albert Jamain w pierwszych książkach), symfoniczność u Verhaeren'a i Kasprowicza, filozoficzność Dantego i Krasińskiego—wreszcie u każdego wielkiego poety w różnych utworach predominacja tej czy innej sztuki—fakty to oczywiste. Verlaine rozbijał jednostronnie malarską poezję parnasowców, wołając: D e l a m u s i q u e a v a n t t o u t e c h o s e! Klaczko upatrywał w „Piekle", „Czyścu" i „Raju" Dantego kolejną przewagą pierwiastków rzeźbiarskich, malarskich i muzycznych. Poezji w okresie symbolizmu postawiono wymaganie, aby nasiąkała pierwiastkami wszystkich innych sztuk.

Ale najfatalniej z wszystkich sztuk oddziałał na poezję teatr i w związku z nim dążenie do dynamiki, do akcji, do ruchu.

„Ruch" stał się fetyszem europejskim już od pokoleń. Kiedy na wschodzie wiedzą oddawna, że nie w gorączce zdarzeń, ale w zatrzymaniu się ich na chwilę jest głębia pozna-

nia, że inaczej jak w momencie kontemplacji nie można własnej duszy i prawdy dosięgnąć, u nas w straszliwej gonitwie do coraz odsuwającej się mety, w febrycznej trzęsionce prac i interesów, w maniackiej nieznośliwości spokoju, w strachu uciszenia, by w ciszy nie wyłoniła się widmowa pustka nasza wewnętrzna doszło się do kinematograficznie-gramofonowej produkcji zdarzeń, aby tylko ani na chwilę dookolność w miejscu nie stanęła.

Ruch! Akcja! Skaczący małpotan, skrzekliwa sarabanda, natrętne tykotanie, migawki, drgawki, przelewające się barwnemi szkiełkami kalejdoskopy, europejski wszechtaniec św. Wita! Prędzej, prędzej, prędzej! Aby na chwilę nie stanąć! Transmisje, koła, śruby pędzą wszystkich w gon nad straszliwymi kotłami pełnymi ognistego metalowego waru. I sztuce nakazano mieć cnoty lokomotywy lub samochodu: ruch, ruch, ruch!

Sztuce trzeba przywrócić spoczynek. Człowiekowi i jego twórczości trzeba dać prawo nieruchomości i monotonji (w znaczeniu trwania przez pewien czas tej samej melodji). Wyścigowe zadyszanie pozbawiło nas samych siebie. Pstrokacizna migotliwych zmian zagłuszyła głos głębin i wyżyn. Ten tylko, kto wpatrzył się w jednolity szafir, kto słuchał jednostajnej eurytmji morza, kto zatonął w bezzdarzenne leśne szelesty, ten tylko zna rozdalenie i rozszerzenie duszy, w którem schodzi w nią cicha, bezgraniczna łaska: wiedza o Wieczności.

Ileż szlachetnego majestatu jest w duszy, która zanurzyła się na dłużej w czysty nurt kontemplacji, zmyła w nim rany i skazy i plamy hałaśliwych targowisk. Tylko w zatrzymaniu Momentu staje człowiek w obliczu Nieskończoności.

Zatrzymanie momentu — uchwycenie go i utrwalenie — w żadnej sztuce nie jest tak wydatne, jak w rzeźbie. I sztuka nasza, która dotąd dążyła do efektów malarskich, muzycznych, teatralnych, t. j. akcji, powinna zmarmurowieć na pewien czas w monumentalność, sposągowieć, aby zatrzymać trajkoczące tryby dusz i pozwolić osiąść w nich fermentom, by snadź wyprzezroczyściały.

Cały nawał przeżyć ma skondensować w sobie jeden symbol, jeden posąg, jeden moment. Będzie on oknem, po za którem otwierają się bezbrzeża. Ale dla ujrzenia ich trzeba zatrzymać się przy tem oknie. Materjał poetycki ma

być ujęty w najmniejszą ilość tonów, przez co zyskają one na sile i pogłębieniu. Przeżycie poetyckie ma znaleźć równoważnik w posągu opisanym słowami, w grupie rzeźbionej.

Rzeźba ta może ubrać się w polichromie, nie chodzi o jej bezbarwność, lecz o znalezienie plastycznego równoważnika uczuć.

Wyspiański poruszał z miejsca i kreował na *dramatis personae* nawet posągi. My chcemy uposągować nawet żywych ludzi. Zatrzymamy moment — bośmy już stracili w ogłuszającym wrzasku i kinematograficznem migotaniu wzrok i słuch prawdziwy. Zatrzymajmy się. Patrzmy. Niech nas nie judzi i nie dźga ruch, ale cichym spoczynkiem owionie stężałość chwili.

Nie po to, abyśmy zapadli w kwietyzm i pozwolili rozrastać się chwastom wśród rozprużniaczeń oraczy. Ale po to, by oczyściło się wnętrze nasze ze zgiełkliwości i papuzich lub szaro-brudnych powszedniości, by natomiast świetlnej reklamy ustawił się nad histerycznemi, konwulsyjnemi miastami kararyjski posąg, nieruchomą wzniosłością podnoszący myśl ludzką ku sobie. Albowiem w kryształowym potoku kontemplacji oczyści się prąd uczuć ludzkich i wyłoni się z nich już nie jatkowo-mięsny i nie smaro-stalowy, lecz łabędziopióry i lirny czyn człowieka na ziemi.

HANNA ZAHORSKA (Savitri).

MYŚLI.

I

Wydałem kwiaty i owoce swoje: jestem już tylko pniem próżnym; lecz ktokolwiek spocznie w mym cieniu i wsłucha się, — mędrszym się staje.

Zamiast utyskiwać, że róża ma kolce, cieszę się, że nad kolcami wznoszą się róże i że krzak rodzi kwiaty.

Jeżeli przyjaciel mój jest jednooki,—patrzę nań z profilu.

Podobny jestem topoli, — drzewu. które zawsze, nawet w starości, wygląda młodo.

Cudza dobroć raduje mnie tak samo, jak moja własna.

Dążycie ku prawdzie przez poezję, a ja do poezji dochodzę przez prawdę,

Wolę raczej tych, co wadom wdzięk nadają, od tych, co degradują cnoty.

Gdy świecę... spalam się.

II.

Boga zawsze sobie wyobrażamy podobnym do siebie samych: pobłażliwi mówią o jego pobłażliwości, surowi głoszą jego zapamiętałość.

Łatwo jest poznać Boga, — byleby się nie silić na określanie go.

Zamknij oczy — a przejrzysz.

Oczy wzniesione ku niebu — jakiekolwiek są—są zawsze piękne.

Gdy się daremnie stuka do drzwi pewnych prawd, trzeba sprobować wejść oknem.

Trzeba mieć umysł, do którego prawda mogłaby wejść naga, aby wyjść — strojna.

Prawda jest podobna niebu, opinja — chmurom.

To, co prawdziwe jest przy lampie, niezawsze bywa prawdziwe w słońcu.

Są umysły, które przez wszystkie prawdy dochodzą do omyłek; inne, szczęśliwsze, przez wszystkie omyłki docierają do wielkich prawd.

Szukajmy swych świateł w uczuciach. Jest w nich żar, dający wiele blasku.

Wyrozumiałość jest częścią sprawiedliwości.

W postępkach należy stosować się do reguł, w sądach — baczyć na wyjątki.

Serce powinno przodować rozumowi, a wyrozumiałość — prawdzie.

Czułość jest odpoczynkiem po namiętności.

Kto nie zna słabości przyjaźni, temu obca jest jej potęga.

Kochając — rozumujemy sercem.

Podawaj swój szacunek przyjaciołom — jakgdybyć podejmował ich biesiadą we wszystko obfitującą; nie wymieniaj cen i nie rozdzielaj kęsów.

Człowiek, nie zdradzający żadnej wady, jest albo głupcem albo hipokrytą, którego strzec się trzeba. Istnieją wady tak ściśle związane z pięknymi przymiotami, że są ich zwiastunkami; i dobrze czynią ci, co się ich nie wyzbywają.

Jeżeli los chce kogo uczynić godnym szacunku, — daje mu cnoty; jeżeli chce go uczynić szanowanym, — obdarza go powodzeniem.

Zadowolona miłość własna jest zawsze czuła. Nawet pycha miewa swoje rozrzewnienia.

Pyszałek wydaje mi się karłem — o postaci dziecka a zachowaniu się człowieka rosłego.

Cnota z wyrachowania — to cnota występku.

Są ludzie posiadający moralność w jednej sztuce; jestto materjał, z którego nigdy nie sprawiają sobie odzieży.

III.

Zwracajcie się do młodzieńców: oni wszystko wiedzą.

Aby sprostać swym celom, trzeba w starości zapomnieć, że się jest starym, i nie czuć zbyt silnie swej młodości, gdy się jest młodym.

Najlepsze w człowieku — to jego młode uczucia i stare myśli.

Wieczór żywota przynosi z sobą swą lampę.

Na to, by żyć, niewiele życia potrzeba; trzeba go dużo, — aby działać.

IV.

Rzeczywistość pospolita czyli ściśle-realna nie może być przedmiotem sztuki. Złudzenie na gruncie prawdy — oto sekret artyzmu.

Jest w sztuce wiele piękności, które tylko dzięki sztuce stają się naturalne.

Przyglądać się lichemu obrazowi z szacunkiem, a dobremu — z rozkoszą: oto jest najbardziej godna pochwały i, rzekłbym, najszlachetniejsza postawa, w jakiej się może znaleźć i ukazać uczciwa ignorancja.

Aby dobrze pisać, potrzebna jest łatwość wrodzona i trudność nabyta.

Łatwość jest przeciwieństwem artyzmu. Wspomnijmy Cycerona: niczego mu nie brak — oprócz przeszkody i skoku.

Poeta nie powinien przebywać krokami dystansu, który może pokonać jednym skokiem.

Nieraz myśl może wrazić się w duszę dopiero ostrzem słowa.

Znajomość umysłów — oto urok krytyki; przestrzeganie prawideł — to tylko jej rzemiosło i pospolita użyteczność.

Jakże liczni w literaturze są ludzie, którzy mają dobry słuch, a śpiewają fałszywie!

Wyjątek jest w sztuce tak samo ważny jak reguła. Reguła broni, a wyjątek powiększa jej terytorjum.

U jednych myśli rodzą styl; u innych myśli ze stylu powstają.

Słowa są jak szkła: zamazują wszystko to, czego nie rozjaśniają.

Poeta niechaj będzie nietylko Fidjaszem swego utworu, ale także Prometeuszem, i prócz kształtu i ruchu niech mu da życie i duszę.

Poeci wiedzą stokroć więcej od filozofów. Szukając piękna, znajdują więcej prawd, niż filozofowie—szukając prawdy.

Nie znajdzie nigdzie poezji, — kto jej nie nosi w sobie.

Przełożył M. G. KARSKI. *JOSEPH JOUBERT.*



Odpoczynek. Fr. Pautsch.

Tow. Zach. Szt. Pięk.

PRZEŹROCZA.

PUŁKOWNIK MOŚCICKI.

Wielu powołanych, ale mało wybranych. Śród niezliczonych fanfar różnego gatunku, wjazdów triumfalnych, rocznic, obchodów, uroczystości wesela i uroczystości smutku, rozdawanych hojnie oku i opinji publicznej, śród istne profuzji zasługi i bohaterstwa, niosącej zbyt często posmak tandety, trafiają się czyste kryształy wielkiej wartości.

Pogrzebanie zwłok pułkownika ułanów krechowieckich, ś. p, Bolesława Mościckiego, w podziemiach kościoła św. Krzyża w Warszawie — jest okazaniem takiego moralnego klejnotu. Najpodlejsze, najnikczemniejsze, najzawistniejsze dusze muszą milczeć wobec niepokalaności faktu. Białe sztandary Arjów pokrywają tę wspaniałą największem milczeniem trumnę.

Są dwa rzędy (rangi) wojskowych: wojskowi karjery i wojskowi honoru. Pierwszym salutuje się jako randze, drugim jako ludziom. Rzemiosło wojenne jest wstrętne, jeżeli nie przywodzi mu honor. Oficerowie honoru są każdej armji siłą i zdrowiem. czyniącą z niej nie szajkę bandytów-morderców, ale Porządek ujarzmiający chaos. Oni stwarzają tradycję armji,

Pułkownik Mościcki był i jest jednym z filarów takiej tradycji. Oddajemy mu cześć, bo on tę cześć naszą utrzymał. Nie zdradził nas, dotrzymał słowa.

Po za wzorową organizacją i prowadzeniem pułku zarówno wtedy, gdy był jeszcze oficerem armji rosyjskiej, tembardziej wtedy, gdy doczekał się szczęścia komenderować pułkiem polskim — los dał mu dwie chwile osobliwe. Pierwszą była bój pod Krechowcami.

Zaiste dzień osobliwy, zadziwiające spiętrzenie wydarzeń. Nie jeden ale dwa boje, na dwa fronty. Wypadło pobić niemców i jednocześnie rozproszyć zgraje sołdatów, nie będących już nawet cieniem armji, ale zwierzęciem bolszewickiem. Pułkownik i pułk jego tej pracy dokonali. Symbol dziejów Poski: nieprzyjaciel na dwa fronty. Świetna minjatura olbrzymiej panoramy historycznej. Pułkownik Mościcki w tym dniu nie rozumował, bo nie miał na to czasu. Rozstrzygnął jak Polak. Nikt nie powie, że nie trafił w cel.

I nie wiem, czy ktokolwiek dotychczas pomyślał i zrozumiał, że w dniu Krechowiec legenda Somosierry zbladła zupełnie, umarła. Nie Hiszpanów niewinnych atakowała tu jazda polska. Tamten rekord pobity.

Bogowie pogańskiego Olimpu zazdroszczą tym, którzy sięgnęli po zasłużone laury. Zwierz bolszewicki czyhał na wroga. Zagryzł go w tej grotgerowskiej Dolinie łez, w Lituanji, pod Dubem, gdzie Mościcki, już nie jako świetny wódz jazdy, ale niby żołnierz-szeregowiec podjął się zadania, ku ocaleniu I-go korpusu, skomunikować z Warszawą. Legł zamordowany.

Czegoż więcej potrzeba na człowieka pełnego?

Zaproponowałbym dla pułkownika Mościckiego pomnik, gdyby czasy nie były zajęte tańczeniem fox-trotta. Doczekamy się, wszak pułkownik już nie umrze.

I nie umrą słowa jenerała Dowbór-Muśnickiego, wypowiedziane na rewji ułanów Krechowieckich w Dukorze pod Mińskiem:

„Odpowiedzią naszą na wszelkie bezecne, bezsensowne nam zarzuty —

są i będą pięść, szabla i lanca. Na takie wymysły odpowiemy nie językiem, lecz czynem bohaterskim, krwią własną i śmiercią, jeżeli tego zajdzie dla Polski potrzeba. Ale tylko dla Polski. Żołnierz jest sługą narodu; co naród każe, żołnierz polski do ostatniej kropli krwi swojej wypełni, a do polityki się nie miesza. Jeżeli ktokolwiek przyjdzie was krytykować lub czynić wam jakie zarzuty, wy macie dlań jeden jedyny wyraz na odpowiedź: „Krechowce". Ta nazwa sławna, obok Somosierry. na wieki ściśle z imieniem waszem, ułanów polskich, związana, zamknie każdą gębę, którąby się do was z krytyką parła"

I tak wiernego ducha miałoby pół miljona żołnierzy polskich w Rosji, gdyby nie robota podjadków konspiracyjnych.

IGNACY OKSZA-GRABOWSKI.

Z literatury.

Cezary Jellenta: DANTE.

Wydanie księgarni F. Hoesicka. Warszawa 1922, str. 148.

Sześćsetna rocznica śmierci największego poety chrześcjaństwa, którą w roku tym cały świat cywilizowany obchodzi, stała się nowym bodźcem do wzmożenia studjów nad epoką, historją, komentarzem i dziełami „Boskiego Poety".

Zdawałoby się, że nic już dodać nie będzie można do całych bibljotek literatury, na jaką w ciągu tych długich sześciu wieków złożyły się najznakomitsze umysły Europy, a jednak mnożące się w nieskończoność publikacje są jasnym dowodem, że nieśmiertelne dzieło sztuki jest niewyczerpanem źródłem piękna, myśli i natchnienia.

Nie może jeszcze iść w zawody o ilość dantologja polska z zachodnio europejskiemi, szczyci się jednak dziełami niepośledniej wartości naukowej i literackiej.

Wznowione obecnie wydanie studjum p Cezarego Jellenty posłużyć może za przygotowawczy wstęp do samoistnej lektury utworów Wielkiego Florentczyka. Treściwie i syntetycznie ujęte wyświetla znakomicie tło, genezę oraz alegorję „Boskiej Komedji" tego arcydzieła, na którym ogniskują się wszelkie studja krytyczne.

Chcąc rzeczywiście „przebywać" z Dantem, trzeba wejść w świat jego idej i wiedzy, trzeba zrozumieć przedewszystkiem jego epokę; to wejście i zrozumienie ułatwia w zupełności praca p. Cezarego Jellenty. Wszechstronny to i barwny komentarz kreślony piórem wytrawnego i głębokiego znawcy.

P. G.

BIBLJOTEKA PRASOWA POLSKA.

W społeczeństwie naszem czem raz głębiej uświadamia się potrzeba i ważność wykształcenia dziennikarskiego, stworzenia typu dziennikarza specjalisty i podniesienia niezbyt wysokiego u nas poziomu tej umiejętności.

Niezmiernie ważną rolę w sprawie tej odegrać powinny należycie prowa-

dzone dwie szkoły dziennikarstwa — powstałe przy Wolnej Wszechnicy i przy Szkole nauk politycznych w Warszawie. Przyczyni się do tego bezwątpienia również „Bibljoteka Prasowa Polska" ogłaszająca prace dotyczące dziennikarstwa i nauk z niem związanych.

Wydawnictwo to zainicjowała „Informacja Prasowa Polska". Instytucja ta, na czele której stoi p. Tadeusz Teslar, rozwija już od kilku lat bardzo pożyteczną działalność udzielania specjalnych wiadomości z prasy polskiej i zagranicznej. W społeczeństwach zachodnich i w Ameryce, bez tego rodzaju instytucji, nie mógłby się obejść nawet przez dzień jeden — żaden publicysta, mąż stanu, przemysłowiec, dyplomata, profesor, czy fabrykant, bankowiec czy też powieściopisarz lub artysta dramatyczny. Nikt bowiem nie jest w stanie przeczytać w części nawet pism codziennych; każdy czyta tylko jedną ulubioną swoją gazetę, ale każdy równocześnie wiedzieć pragnie, co piszą o nim lub o interesującym go przedmiocie.

Potrzebę tę odczuł najpierw rzutny umysł francuza Cherie, który w r. 1879 założył w Paryżu „L'Argus de la presse" pierwszą przetwórnię prasy całego świata, oraz archiwum wycinków. W kilka lat potem pomysł ten naśladowali Niemcy, którzy przed wojną mieli trzy sprawnie funkcjonujące tego rodzaju biura, a z tych berlińskie „D. Z. A." („Deutsche Zeitungs Archiv"), stało na usługach naukowców niemieckich, dostarczając im bieżącego materjału bibljograficznego.

Po Niemcach instytucje takie powstały w Szwajcarji, Anglji, Ameryce i Włoszech. Zasługuje również na uwagę fakt, że w carskiej Rosji po upadku dwuch biur prywatnych, powstało trzecie rządowe w Odesie, które wszystkim instytucjom państwowym dostarczało interesujących je wycinków z prasy rosyjskiej i zagranicznej.

Jako pierwszy zeszyt „Bibljoteki prasowej" ukazało się studjum d-ra Staniaława Lama p. t. „O bibljografję polską", w której doskonały znawca tego przedmiotu daje jedyny dotychczas racjonalny projekt stworzenia bibljografji czasopiśmiennictwa polskiego oraz rejestracji druków. Czytelnicy „Plaówki" z uwagami d-ra Lama mięli się już sposobność zapoznać, dlatego nie omawiamy go szczegółowo. Projekt ten powinna wziąć pod rozwagę przedewszystkiem sekcja szkół wyższych Ministerstwa Oświaty, powinna zainteresować się nim Akademja Umiejętnosci jakoteż poszczególne senaty uniwersyteckie, których członkowie najlepiej rozumieją ważność bibljografji w pracy naukowej oraz najlepiej widzą jej niedomogi i potrzeby.

Zeszyt drugi „Bibljoteki prasowej zawiera pracę red. Stanisława Jarkowskiego, p. t. „Prasa warszawska" od 5. XI. 1916 do 1. III. 1919. Jest to bardzo ciekawy statystyczno-bibljograficzny przyczynek do historji współczesnej prasy warszawskiej — dający wiele cennego materjału, oświetlającego charakter i stan stołecznej prasy w latach wykuwania naszej niepodległości.

P. G.

BIBLJOGRAFJA.

(KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI).

Borowski Wł. M. Wykład psychologji ogólnej w zastosowaniu do wychowania. Cz. II. Psychologja uczuć. Str. 180. Wyd. Arcta. Warszawa 1921.

Książka p. Borowskiego, autora znanej pracy „O wychowaniu narodowem", odznacza się ścisłością naukową i estetyzmem formy, przy-

czem ze względu na zrozumiałość i jasność wykładu staje się przystępną dla szerokiego grona czytelników.

Holewiński J. Inż. Budynek szkolny. Z 51 rycinami. Str. 118. Wyd. Arcta. Warszawa 1921.

Na treść tej pracy, opatrzonej rysunkami i planami składają się następujące rozdziały: Miejsce i plac pod budowę szkoły. Ogólne warunki budynków szkolnych. Izba szkolna. Ławki szkolne. Pomieszczenia komunikacyjne, rekreacyjne i inne. Miejsca ustępowe, umywalnie i natryski. Ogrzewanie budynku szkolnego. Przewietrzanie budynku szkolnego. Internat szkolny.

Mogilnicki Al. dr. Ogólne zasady prawa. Podręcznik dla wyższych klas szkół średnich. Wyd. III-ie, przerobione. Wyd. Arcta. Warszawa 1921.

Trzecie wydanie tego znanego podręcznika różni się od wydań dań poprzednich rozszerzeniem niektórych działów, szczególnie zaś działu prawa politycznego, które autor oparł na podstawach projektu uchwalonej już Konstytucji Państwa Polskiego. Skutkiem tego podręcznik zyskał znacznie na wartości i aktualności, co tembardziej czyni go dla szkół naszych pożytecznym.

Sujkowski A. Geografja ziem dawnej Polski. Z licznemi ryc. Str. 420 i VIII in 4-o. Wyd. II. Arct, Warszawa. 1921.

Najobszerniejsza praca geograficzna o Polsce z entuzjazmem przyjęta w pierwszem wydaniu, wyszła obecnie w wydaniu drugiem pod niezmienionym tytułem, choć w treści ma pewne zmiany. Język, styl, sposób ujęcia przedmiotu przez prof. Sujkowskiego czyni dzieło jego, mimo wysokiego poziomu naukowego, dostępnem dla wszystkich, bo też wszyscy powinni wiedzieć czem Polska jest, co posiada i czem być może.

Szober St. Gramatyka polska w ćwiczeniach. Podręcznik dla szkół powszechnych i niższych klas szkół średnich. Zeszyt IV. Str. 110.

Czwarty zeszyt „Gramatyki" przeznaczony jest dla 3-ciej klasy szkół średnich, względnie dla 6-go oddziału szkół powszechnych.

Treść zeszytu XVI-go.

Warunki prenumeraty:

W stolicy i w kraju: Kwart. Mk. 320. Za gran. i w Ameryce: Kwart. Mk. 500 Dolicza się kwart. w Warsz. za odnosz. Mk. 20, w kraju za przes. pocz. Mk 40, zagranicą i w Ameryce Mk. 60.—Cena oddzielnego zeszytu Mk. 60 Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. 38.

POLSKI POSTERUNEK WYDAWNICZY „PLACÓWKA"

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, Nowy-Świat № 40. Telef. 319-87.

Redaktor Naczelny wydawnictw Polsk. Poster. Wyd. „Placówka": WALENTY ZIELIŃSKI.

Członkowie Komitetu Redakcyjnego: IGNACY OKSZA GRABOWSKI. GUSTAW OLECHOWSKI, STANISŁAW PIEŃKOWSKI.

Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, ul. Zgoda 5.